



Wojciech Myślecki

część II z II

Sygnatura notacji: **N0850**

Data urodzenia: **22.07.1948 r.**

Data nagrania: **27.06.2023 r.**

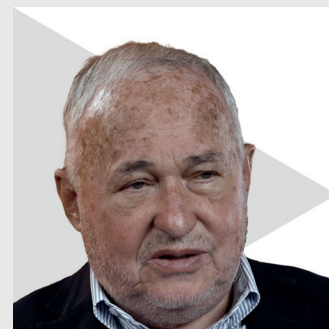
Miejsce nagrania: **dom świadka, Wrocław, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 42 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Artur Kłus: Czyli Pan 16 grudnia został zatrzymany, a 21 internowany?

Wojciech Myślecki: Tak, bo tam jakąś mi rozprawę robiono, w rezultacie nie przed sądem, tylko był taki specjalny sąd, taki szybki, już nie pamiętam nawet o co, jakąś walnięto mi grzywnę i równocześnie wręczono tam, znaczy poinformowano, że jestem internowany. I na początku na Kleczkowskiej siedziałem, później wywieziono nas w wigilię, zresztą też z różnymi cyrkami, do Grodkowa, później jak aresztowano i rektora Zipsera, i prorektorów dwóch, czyli profesora Wiszniewskiego i jeszcze jednego, to nas przywieziono z powrotem do Wrocławia, bo przygotowywano rozprawę przeciwko nam, od której później odstąpiono, i dopiero później, po kilku miesiącach, wznowiono tę rozprawę. Później nas wywieziono do Nysy i tam już do końca, nie, jeszcze później pod koniec mnie do Grodkowa przerzucono.

Artur Kłus: Tę wigilię jak Pan pamięta?

Wojciech Myślecki: Wigilię zrobili taką, można powiedzieć, inscenizowaną troszeczkę, ja przynajmniej tak to zapamiętałem, na wzór hitlerowski, ponieważ myśmy się jakoś tam przygotowywali, jakąś miał gałązkę, jakoś tam dostał ten, jakoś, próbowaliśmy jakoś tam wigilię zrobić. Nagle huk, jakieś coś się dzieje, szczekanie psów i tak dalej. Oni wprowadzili atandę. Ja nawet nie wiedziałem, że coś takiego... To jest wewnętrzne więzienne ZOMO. To jest jedyna jednostka, której wolno z bronią być na terenie więzienia. I oni właśnie w hełmach, z tymi psami i tak dalej wyrzucają nas z celi na ten korytarz z takimi sugestiami, że chyba nas rozstrzelają czy coś takiego. To znaczy nas może nie rozstrzelali, ale wsadzili do takich bud i trzymali na mrozie jakieś chyba ze 3–4 godziny. Myśmy się tak wkurzyli, bo tak, ani nie

pozwolali wyjść na to, żeby się załatwić, zimno jak cholera. I myśmy zaczęli kołysać, bo taka buda więzienna taki ma wąski korytarz i są takie cele w środku po lewej i po prawej stronie, więc jest takie, myśmy się umówili, zaczęliśmy kołysać i wywróciliśmy ten samochód, kołyszac, więc oni wtedy już ruszyli i nas wywieźli właśnie do Grodkowa, ale to pamiętam, te psy, to szczekanie, że taka hitlerowska atmosfera, bo przecież wtedy w moim dzieciństwie, młodości, było bardzo dużo filmów jednak z okresu wojennego, więc oni to jakoś tak podinscenizowali, właśnie taką właśnie pacyfikację. Ale po wyjściu, w sierpniu wyszedłem z tego internowania, zgłosiła się do mnie osoba, którą bardzo dobrze znałem, prosząc, w ważnej sprawie, nie ukrywała, że to jest sprawa podziemia, bo do mnie się zgłosili zarówno ludzie z podziemia RKS-owego i później w bibliotece spotkałem się wtedy właśnie z Hanką Łukowską, która już wtedy była bardzo blisko Kornela Morawieckiego i właściwie ona była organizatorem jakby dojścia do niego. Z nią umówiłem, że tak powiem, w jaki sposób się spotkam z Kornelem, z którym się znałem zresztą. Spotkanie chyba było gdzieś na początku października. Oczywiście już wiedziałem mniej więcej, że SW [Solidarność Walcząca] to jest jedyna organizacja, która jakoś tam naprawdę sobie może dać radę. A poza tym uważałem, że już koniec zabawy, że już z komuną albo albo, zero-jedynkowa sytuacja, żadnego tam dogadywania się, ostra walka i do widzenia.

Artur Kłus: SW, czyli Solidarność Walcząca?

Wojciech Myślecki: Tak, tak. Wtedy w październiku od razu złożyłem przysięgę, wstąpiłem do Solidarności Walczącej, z tym że poproszono mnie, żeby ze względów bezpieczeństwa i organizacji mojej przygotowywać się, ale nie działać, prawda, przez tam trzy miesiące. I rzeczywiście wyznaczono osobę, która miała mnie wprowadzić w te arkana już wtedy jednak w miarę profesjonalizowanej organizacji, szczególnie jeżeli chodzi o pracę kolportażową, drukarską i tak dalej. Niestety osoba, która mnie wprowadzała, Pan Klementowski [Kazimierz], później równocześnie się załamała w śledztwie i spowodowała największą wpadkę w Solidarności Walczącej. Ale jak powiedziałem, na tym stażu byłem, później przejąłem część kanałów kolportażowych od niego, ale głównie powiedział mi Kornel, że muszę po prostu sam budować. Zresztą miałem akurat, pomijając, że miałem już doświadczenie opozycyjne, ale siedząc w więzieniu, poznałem wielu ludzi, których mogłem już ocenić, czy oni są wiarygodni, czy nie, i wobec tego wziąłem na siebie na przykład całą tę Jelenią Górę, Strzelin, Strzegom. W każdym razie to był ten cały obszar, gdzie zacząłem budować kanały kolportażowe, Wałbrzych, Milicz, w oparciu o swoje kontakty z więzienia. I budowałem dosyć taki potężny układ. Pierwszą taką poważną akcją, gdzie musieliśmy już siłę organizacji zastosować, była kwestia papieru. To było bardzo inteligentne pociągnięcie w 1983 roku. Władze zdecydowały się czy zorientowały się, że w sumie siła podziemia polega na tym, że ma kanały kolportażowe, drukarnie. I że siła wolnego słowa, której oni nie mogą zgnieść, jest najważniejszym w tej chwili polem bitwy. I siedli na papierze, to znaczy, i bardzo skutecznie, wszystkie małe, większe źródła papieru zostały przycięte. I zaczął się kryzys papierowy. Wtedy podjęliśmy decyzję, że będziemy na dużą skalę prowadzić, że tak powiem, nazwijmy to, pozyskiwanie papieru, a de facto kradzież. Zmówiliśmy się z jednym z pracowników drukarni, chyba drukarni naukowej, jak dobrze pamiętam, to był 1983 rok, gdzieś wiosną 1983 roku. Ta drukarnia ściągająca, nie tylko ona, papier chyba Odrą. Znaczą na barkach przyływały duże takie bele papieru po kilkaset kilogramów. Oni później pakowali do magazynów i rozwozili do drukarni. Dzięki temu, że żona naszego kolegi pracowała w tej drukarni, mieliśmy oryginały tak zwanych „pezetek”, czyli dokumentów magazynowych, WZ, PZ i tak dalej. I podrobiliśmy tę drukarnię. I pojechaliśmy do tego portu. Mieliśmy przekupionego tego faceta, któremu tam parę groszy żeśmy dali, i po prostu jak jechał wózek widłowy z tak potężnymi belami, to myśmy kazali pakować

na swój samochód. Samochód też był ukradziony, bo wiadomo było, że jak złapią, to konfiskują, jest podrobiony papier, ukradziony samochód, ukradziony papier. I jechaliśmy na Akademię Medyczną, bo uważaliśmy, że tam bezpiecznie będzie. I rzeczywiście na Curie-Skłodowskiej okazało się, że pękło takie blaszane obejmie tej beli, za nami cały dywan z papieru powstał. Kolega, który prowadził ten samochód, mówił: „Jedyne, co zrobimy, to musimy zbierać ten papier. Nie uciekniemy już”. Do dzisiaj to pamiętam, to zbieranie papieru. Ja stosunkowo świeżo byłem po wyjściu z więzienia, a wiedziałem, że jak nas złapią, to pójdziemy jako złodzieje. Czyli podrabianie papieru, już widziałem, ile tam tych będzie. Udało się jakoś to.

Artur Kłus: Udało się zabrać papier i nie zostać aresztowanym.

Wojciech Myślecki: Nie, ale później trzeba było pociąć ten papier. I pamiętam, że całą noc cięliśmy na takiej porządnej gilotynie w prywatnym małym zakładzie introligatorskim Pani Bielawskiej, niestety już nieżyjącej. Ona spokojnie sobie na szydełku coś tam robiła, a myśmy tam cięli. A introligatornia była w odległości 200 metrów od milicji, bo to była na Nowotki, pod samą latarnią. Więc wiele by można powiedzieć, bo podziemie oprócz oczywiście tych aspektów politycznych i tak dalej przede wszystkim to była ciężka praca. Zostałem aresztowany, zresztą to była fala aresztowań na przełomie koniec 1983, początek 1984 roku. Właśnie pierwszy został aresztowany ten Klementowski, ponieważ prowadził na dużą skalę taki magazyn rozdziału bibuły. I tam ktoś doniósł, jak wspomnieliśmy z dokumentów, jakaś tam pani, która tam mieszkała, że coś się podejrzanego dzieje, oni tam założyli kocioł. Ale on dokładnie, on dużo wiedział, bo był od początku w Solidarności Walczącej. I sygnął mnie, tylko że mnie nie znał. Nie wiedział, kim ja jestem, zresztą mu tam takie zmyłkowe różne historie podrzucałem. I dopiero poznał mnie na zdjęciu. Także mnie dosyć późno aresztowano, gdzieś w styczniu dopiero 1984 roku.

Artur Kłus: Zatrzymany 28 lutego 1984.

Wojciech Myślecki: A, czy tam nawet w lutym. Więc ja siedziałem spokojnie i cicho, powiedziałem, żeby się ode mnie odczepili, że nic im nie powiem, też nic nie powiedziałem. I zwolniono mnie na mocy amnestii w sierpniu chyba 1984 roku.

Artur Kłus: Czyli dla Pana to pierwsze internowanie po strajku na Politechnice i to aresztowanie, jaka była różnica między tymi dwoma?

Wojciech Myślecki: Internowanie, na początku była nerwowa atmosfera, był początek stanu wojennego, ja pamiętam tę dosyć brutalną pacyfikację, a potem nikt nic nie wiedział, czym to się skończy, mogło się różnie to skończyć. Ale później to internowanie, myśmy swoim uporem, głodówkami, awanturami, bijatykami z tą atandą całą wymusili traktowanie nas już nie jako normalnych kryminalistów, tylko mieliśmy taki stosunkowo łagodny reżim, a pod koniec to już w ogóle robiliśmy, co chcieliśmy, i tak dalej. Natomiast to było normalne, regularne więzienie przede wszystkim. Siedzieliśmy w mieszanym układzie, nie tam, że jacyś polityczni, tylko z kryminalistami. I to była taka, można powiedzieć, człowiek się tam paru rzeczy w tym więzieniu nauczył, czego nie było w internowaniu, bo myśmy we wspólnym środowisku siedzieli, tak. Natomiast tu już siedziałem z kryminalistami. –

Artur Kłus: Tu to znaczy w tym 1984?

Wojciech Myślecki: Tak, tak. Naprzód siedziałem na dołku, ale później do aresztu śledczego nas dali. Bo przygotowali bardzo dużą rozprawę i siedziałem w tym areszcie śledczym na Świebodzkiej, tam koło sądu. Przyznam się szczerze, że ja akurat należę do tego typu ludzi, którzy jakoś umieją w trudnych sytuacjach sobie dawać radę, więc ja nie mam jakichś takich wspomnień. Poukładałem sobie tak sprawę, że wiedzieli już, że jak mnie ruszą, to będzie awantura, więc woleli nie ruszać i tyle. Ponieważ stanowczo odmówiłem jakichkolwiek, pamiętam zdumienie pani prokurator, jak odmówiłem podpisania tej sankcji prokuratorskiej. I co się okazuje, że jest wymóg, że musi być dowód, że osoba, która tę sankcję dostaje, wie o tym. A ja odmówiłem podpisania. Jak ona zapytała mnie, dlaczego odmawiam podpisania, powiedziałem, że na to pytanie też nie odpowiem. Jakąś komisję tam powołano, która podpisała za mnie, że stwierdzono, że rozumiem, słyszałem. Jakaś taka komedia była. Ja tam sobie spokojnie siedziałem. Na szczęście zdążyli sporządzić akt oskarżenia przeciwko mnie, gdzie tam straszne rzeczy powypisywali, jakieś tam obalanie siłą władzy, osłabianie siły obronnej Układu Warszawskiego, współpraca z obcymi wywiadami, jakieś okropne rzeczy. I na końcu napisali, że na dodatek odmówił jakiegokolwiek współpracy z organami sprawiedliwości, jakichkolwiek zeznań, czyli dali mi świadectwo moralne bardzo dobre. Tam jeszcze pieczętek właśnie mam ten. Chciałem nawet dzisiaj go przynieść, Wam pokazać, ale jakoś nie mogłem znaleźć. Mam ten akt oskarżenia, oprawiłem w taką broszurową, grubą okładkę. Po wyjściu w sierpniu oczywiście bardzo szybko się spotkałem z Kornelem. Ustaliliśmy, że musimy zmienić trochę zasady funkcjonowania, bo poprzednio była Rada, czyli ci ludzie, którzy założyli Solidarność Walczącą, i Kornel jako przewodniczący. I to ściągnięcie tej Rady i tak dalej, więc ja zaproponowałem, żeby Komitet Wykonawczy, żeby Rada została ciałem bardziej politycznym, takim konstytutywnym, a Komitet Wykonawczy złożony z ludzi, którzy rzeczywiście trzymają w garści stronę organizacyjną, w związku z tym powstał czterosobowy czy pięciosobowy Komitet. To był Kornel, to był Pawłowski, to był właśnie Mysz. Pierwszy ten skład komitetu. I to jakoś tam wszystko funkcjonowało. Ustaliliśmy też kwestię, co się stanie, jeżeli Kornel zostanie aresztowany. I ustaliliśmy, że on zostaje przewodniczącym organizacji, zostaje przewodniczącym Rady, natomiast przewodniczący Komitetu Wykonawczego musi być czynny, nie może siedzieć, bo jak można... Więc ustaliliśmy, że będzie elekcja vivente rege, to znaczy, że Kornel wskaże, kto w razie jego aresztowania ma być jego następcą. Warunek był, że to musi być osoba, która występuje pod własnym nazwiskiem, a nie pod pseudonimem, i która musi być już w podziemiu, a nie, że dopiero zejdzie do podziemia. I on wyznaczył Andrzeja Kołodzieja, czyli ten system vivente rege się sprawdził. Niestety Kołodziej, który niezbyt ostrożnie działał, był takim zagończykiem i się nie bał specjalnie, a to jest bardzo groźne, jeżeli ktoś jest za odważny w podziemiu, to jest groźne, bo nie przestrzega bardzo dokładnie zasad bezpieczeństwa. Tu dochodzimy do kwestii organizacyjnych Solidarności Walczącej, bo ta sprawa do dzisiaj moim zdaniem nie została dobrze opisana, może najlepszym takim wykładem na temat jest wykład wygłoszony przez niestety nieżyjącego już Andrzeja Myca, który zresztą i w Radzie był, i w Komitecie Wykonawczym, i na dodatek jeszcze był łącznikiem. Powstało coś w rodzaju Komitetu Przewodniczących Regionów Solidarności Walczącej. Więc on we wszystkich elementach wykonawczych i decyzyjnych był. Zmarł niedawno zresztą w Stanach Zjednoczonych. I on wygłosił wykład o organizacji Solidarności Walczącej, gdzie zastosował analizę, modele naukowe i najlepszy model to był model fraktalowy, czyli że organizacja to była coś w rodzaju luźnej federacji takich mini, mikro Solidarności Walczących, bo każdy, kto tworzył jakby swoją grupę, był przeszkolony w technikach kolportażowo-drukarskich i oczywiście tam kwestia, troszeczkę inaczej

szły kwestie ideologiczne i polityczne, ale struktura Solidarności Walczącej to była organizacja wokół druk – kolportaż. Każda komórka musiała mieć zdolność samodzielnego druku, ponieważ dopracowaliśmy się dosyć wysokiego poziomu bezpieczeństwa. Nie tyle może kontrwywiadowczego, ale bezpieczeństwa strukturalnego, na przykład główne czasopismo, które ani razu nie zostało, że tak powiem, zagrożone. I nawet jak była ta wielka wpadka przełomu 1983/1984, to wszystkie numery szły regularnie i tak dalej, ponieważ to było wydawane, znaczy sitodruk był w kilkunastu egzemplarzach robiony i był roznoszony najczęściej przez starsze panie w torebeczce już do punktów drukarskich, czyli właściwie nawet jeżeli połowa wpadła, to i tak druga połowa była drukowana spokojnie w tych wszystkich drukarniach. To był fundament. Myśmy wiedzieli, że „Solidarność Walcząca”, podstawowe czasopismo, jest czymś w rodzaju sztandaru na polu walki. Jak ona padnie, to padnie organizacja, więc to był taki istotny punkt bezpieczeństwa w funkcjonowaniu organizacji. Druga to była taka fraktalna struktura. Trzecim elementem był jednak nasz kontrwywiad, przede wszystkim kontrwywiad radiowy. Myśmy mieli do czynienia tutaj z mocno profesjonalizowaną Służbą Bezpieczeństwa, bo w 1983 roku oni uznali, że myśmy przeniknęli w struktury. Zrobili błąd, bo myśmy nie przeniknęli do struktur Służb Bezpieczeństwa, bo przeniknęliśmy w stosunkowo niewielkim stopniu, ale mieliśmy za sobą ludzi z Wydziału Zabójstw i Narkotyków. To byli najlepiej wyszkoleni ludzie, bo większość z nich przeszła przez szkołę Scotland Yardu, ale też był zdrowy stosunek tego. I w tej sekcji był mój przyjaciel ze szkolnej ławy, ze szkoły średniej. I oni przede wszystkim najcenniejsze nam dostarczali informacje, przede wszystkim co do technik operacyjnych, nasłuchy, obserwacje, jak jest organizowane to wszystko, bo oni uczyli też Służbę Bezpieczeństwa. Właśnie ta sekcja była znakomita pod tym względem. I w momencie, kiedy Służba Bezpieczeństwa przez przypadek dorwała biuletyn wewnętrzny, który myśmy bardzo pilnowali, i się zorientowali, że my podsłuchujemy i robimy biuletyny z ich rozmów, przeszli na język kodowy, tak zwaną „fose”, to znaczy na przykład kierunki były 148, 248, 348 i tak dalej, nawrotka była 548, myśmy to złamali, ten kod. Ale co ciekawe, oni też mieli system komutacji, czyli w momencie, kiedy nadawali, to przerzucali z kanału na kanał, mieli tam równolegle 12 czy 8 kanałów częstotliwościowych. I myśmy musieli do każdego kanału podpinąć takie magnetofony, czyli musieliśmy 8 magnetofonów podpiąć pod to. Później siedziały panie całą noc i sklejały tę rozmowę, znaczy tego, tego, tego i tak kolejno. To była katorżnicza, benedyktyńska praca. I w momencie, kiedy myśmy nawiązali rzeczywiście kontakty z amerykańską służbą wywiadowczą, oni dostali fotografie, bo pytali, jak my to robimy przy komutowaniu, dostali fotografie tych 8 czy 12 małych magnetofonów i te panie siedzące z nożyczkami. I oni dali nam wtedy najnowocześniejszy sprzęt, który sam biegł za tymi rozmowami, sam je sklejał, elektronicznie oczywiście. Także taka nagroda, od Amerykanów dostaliśmy.

Artur Kłus: W jaki sposób ten sprzęt dotarł?

Wojciech Myślecki: To już dużo by mówić, w ogóle jeżeli chodzi o przechwytywanie czy organizowanie transportów, na początku myśmy dzięki sprawności organizacyjnej świadczyli usługi na rzecz RKS-u, czyli tej dużej Solidarności, bo oni sobie z tym nie dawali rady. I oczywiście, nazwijmy to, marzę za usługę braliśmy w ten sposób, że trochę tam, bo oni nie chcieli nam nic dawać, to myśmy sami sobie brali. Więc pierwsza rzecz, bardzo dużo transportów było obsługiwanych przez nas. A zresztą też taka ciekawostka, bo po stronie tych, którzy wozili rzeczywiście transporty, to głównie to byli kierowcy bądź z tego związku zawodowego trockokomunistycznego, bądź Baskowie, ponieważ oni się nie bali, ponieważ byli prześladowani, więzieni, więc oni to byli twardzi ludzie, tak ideowo, oględnie mówiąc, nie do końca. Ja miałem taką rozmowę z Baskami, ponieważ ostatni odcinek myśmy przejmowali transporty. I ich nie

chcieliśmy narażać, ale też nie chcieliśmy, żeby w razie czego wiedzieli, gdzie tam jest końcówka, najczęściej to były jakieś zakony czy parafie takie, w Miękini czy gdzieś. A ja trochę znam język angielski, więc jakoś tam miałem się nimi zajmować, najczęściej w jakiejś sąsiedniej wsi mieli pokoje przygotowane, kolacje tam, zawsze popiliśmy troszkę. No i ci Baskowie mnie pytają: „Co tam wozimy, jakieś drukarnie, jakiś papier, po co wam to? My wam tam przywieziemy trochę broni”. Ja mówię: „Słuchajcie, pierwsza rzecz, że w Polsce jest takie powiedzenie, że się nie wozi drzewa do lasu. My tu mamy jednostki sowieckie, po co my, my mamy tutaj szczególnie tę broń, że my znamy, bo większość z nas jest szkolonych wojskowo, to broń znamy i wiemy, jak ją obsługiwać, więc nie ma po co”. Mówi: „Ile to kosztuje?”. Ja mówię: „To my tutaj za jakieś 80 do 100 dolarów mamy kałasznikowa”. „O, to mamy droższe”. Ten problem został rozwiązany. „Ale po co wam te maszyny?” i tak dalej. Ja mówię: „W komunizmie wolne słowo jest groźniejsze od pocisku. My nie rozwalimy, ponieważ komuniści mają więcej tej broni. My ich bronią nie pokonamy. My ich pokonamy wolnym słowem”. No i to tak trochę ich tego... Ale co ciekawe, że pokłósiem tych rozmów i tego, że oni docenili, że mają taką profesjonalną organizację, dostaliśmy wielką doroczną nagrodę trockistów. To była duża suma, to było 25 000 dolarów. No ale to był straszny obciach, bo myśmy nic z trockistami, wręcz odwrotnie, myśmy, oględnie mówiąc, byli przeciwnikami, więc wzięcie nagrody było... Było specjalne posiedzenie Komitetu Wykonawczego i tam radzimy. W końcu profesor Zarach, matematyk i złośliwiec okropny, mówi: „Wiesz, co zrobimy? Bierzemy te pieniądze, ale im nie pokwitujemy”. I rzeczywiście żeśmy nie pokwitowali. Wzięliśmy, ale nie pokwitowaliśmy. No jest to właśnie takie. Pamiętam właśnie tę rozmowę z Baskami bardzo dokładnie i tę sprawę pokłócia tego, czyli ta wielka nagroda doroczna trockistów, którą myśmy dostali. Ale wracając, w każdym razie tam praca podziemna to wtedy był ogromny wysiłek. To trzeba było całe noce czasami gdzieś tam się przedzierać, jeździć, zmieniać ubrania. Kupa ludzi była w to zaangażowanych. I większość ludzi, w tej chwili mamy takie Stowarzyszenie Solidarność Walcząca, właśnie koleżanka jest sekretarzem tego stowarzyszenia, przyjechała po jakiś tam protokół z ostatniego walnego zgromadzenia. To większość ludzi, która nie zrobiła takiej kariery później w życiu, to dla nich ten okres był najważniejszy w ich życiu. Że nigdy nie czuli się tak podmiotowo, nigdy nie czuli się tak ważni, tak potrzebni. I to wwarło się w świadomość tych ludzi, ta praca i ta wspólnota konspiracyjna. Jeżeli chodzi o sprawy polityczne, bo też one. Solidarność Walcząca moim zdaniem nigdy nie oczekiwała ani też nigdy nie prowadziła takiej działalności w sferze politycznej, aby różnicować ideowo czy światopoglądowo członków. Po prostu program Solidarności Walczącej był w jakimś sensie takim melanzem koncepcji solidaryzmu, opartego w dużej mierze o wielkie encykliki społeczne Jana Pawła II, i antykomunizmu, jasny, prosty i tak dalej. To wystarczyło. Różnice światopoglądowe pojawiły się dopiero na późniejszym etapie, jak już był Okrągły Stół i tak dalej. Ale sam fakt, że przy Okrągłym Stole myśmy postawili zdecydowane „nie”, wynikał już z dosyć dużej i głębokiej analizy, jak wygląda ten system. I myśmy nie mieli żadnych złudzeń, że układ Okrągłego Stołu był przede wszystkim przygotowany również z poparciem i pod auspicjami i Kościoła, a przede wszystkim Departamentu Stanów Zjednoczonych. Myśmy mieli bardzo dobrze rozpracowany system zbierania informacji i z Watykanu, bo mieliśmy wśród ludzi Kościoła nie najgorzej moim zdaniem. Mieliśmy praktycznie w każdej organizacji podziemnej jakby, nie powiem, swoich agentów, ale w każdym razie staraliśmy się, w NZS-ie, dużo ludzi z Solidarności Walczącej było wybitnymi działaczami NZS-u, choćby na przykład Schetyna czy Rudnicki, czy później młody Morawiecki, czy Kotliński. Oni byli i w SW, i w NZS-ie. Staraliśmy się pilnować, aby te organizacje nie zjechały za bardzo na taką ugodową koncepcję, żeby nie sprzedać się za darmo po tym wysiłku. Niestety sukcesy były takie sobie, bo Okrągły Stół doszedł do skutku i nie mieliśmy żadnych złudzeń, czym to się mniej więcej skończy, że to będzie taki zgniły, że nie da się szybko przebudować Polski, ponieważ ludzie ideowi zostaną

odsunięci. I zostaliśmy odsunięci od tego. W jakimś sensie gorzką lekcją dla mnie to był moment, kiedy jeszcze nie było tych wyborów 4 czerwca, pół takich wolnych, ale był już Komitet Obywatelski. Komitet Obywatelski Wrocławski mieścił się na Oławskiej, tam na drugim czy trzecim piętrze. Ja niestety akurat wtedy miałem jakieś bardzo poważne problemy zdrowotne, z trudem chodziłem, bo miałem jakąś rwę kulszową i taką jakąś okropną, więc ledwie wlałem. Poszedłem, wziąłem przepustkę z tego szpitala, gdzie byłem, i poszedłem, nie wiem już, po co tam, do tego Komitetu Obywatelskiego. Jak tam wszedłem, ponieważ ja byłem w końcowej fazie jawnym przedstawicielem Solidarności Walczącej, ujawnionym, bo tak już wiedzieli, że jestem w SW, jak ja tam wszedłem, część ludzi udawała, że mnie nie widzi, a taki bardzo porządny, niestety już nieżyjący poeta i opozycjonista Lothar Herbst zaczął nagle walić jak opętany w maszynę, bo były jeszcze takie maszyny, gdzie się ręcznie pisało, więc stwierdziłem nagle, że jestem osobą tu kompletnie nikomu niepotrzebną, więc wygłosiłem tam kilka cierpkich uwag na temat Komitetu Obywatelskiego i poszedłem. Ale wtedy już zauważyłem tę atmosferę izolowania i jakby separowania i organizacji, i ludzi z organizacji.

Artur Kłus: Solidarności Walczącej.

Wojciech Myślecki: Tak, tak. Więc ta końcówka była dla nas niezbyt przyjemna i właściwie lepiej było być w PZPR-ze niż w Solidarności Walczącej. I jak tak wszystko sobie to pozbierałem do tego, to podjąłem decyzję, że po rozwiązaniu Solidarności Walczącej, zresztą byłem głównym, jakby takim prącym, żeby rozwiązać, bo bałem się, że Kornel z rozpędu politycznego, bo on zawsze miał taką misję prowadzenia pracy politycznej, niezależnie, czy to miało sens, czy nie, żeby on Solidarności Walczącej nie próbował przekształcić w partię, więc doprowadziłem do rozwiązania, formalnego, oficjalnego rozwiązania. I jedynym ciałem, które do dzisiaj funkcjonuje, jest Kapituła Krzyża Solidarności Walczącej.

Artur Kłus: Kiedy została rozwiązana Solidarność Walcząca?

Wojciech Myślecki: W 1991 albo w 1992 roku. Pokłosiem organizacyjnym tej Solidarności Walczącej było powstanie Partii Wolności z Kornelem na czele. Zresztą to była jedyna partia, w której byłem, już tak z rozpędu trochę, nie działałem specjalnie tam, pomagałem Kornelowi, szczególnie w programie, niemniej nie działałem i wróciłem na uczelnię, doszedłem do wniosku, że jeżeli mogę coś dla Polski zrobić, to po prostu jako nauczyciel akademicki. Zresztą wszedłem do władz uczelni, przeprowadziłem reformę administracji. Później założyłem amerykańską szkołę zarządzania, później francuską szkołę zarządzania, bo uważałem, że uczenie ludzi w warunkach demokratycznego państwa i wolnej gospodarki rynkowej jest dużo ważniejsze niż w tej chwili cokolwiek innego, więc zamiast być kiepskim politykiem, uznałem, że lepiej być dobrym nauczycielem akademickim, i też to, wydaje mi się, zrobiłem, bo bardzo dużo, przecież obecny premier skończył tę szkołę amerykańską, wieloletni prezes PKO BP Jagiełło skończył tę szkołę. Trochę tych najzdolniejszych ludzi z SW ja wrzucałem na ścieżkę przygotowania się do kariery gospodarczej. To jakieś tam osiągnięcia drobne były w tym.

Artur Kłus: Panie Wojciechu, mamy dosłownie 2–3 minuty. Jeszcze na koniec bym zapytał, bo w tym okresie lat 80. był Pan wielokrotnie zatrzymywany, przesłuchiwany, poddawany rewizjom. I też Pan wspominał, że to było też ciężkie z pozycji takiej osobistej, domowej, że częściej nieproszeni

goście bywali u Was w domu. Jak Pan to wspomina z perspektywy rodzinnej, osobistej?

Wojciech Myślecki: To był chyba taki jakby najtrudniejszy element, właśnie to życie w warunkach, kiedy moja działalność konspiracyjna i opozycyjna przede wszystkim rzutowała bardzo na rodzinę. Moja mama, z którą mieszkaliśmy razem, jednak ona przeżyła różne rzeczy w czasie wojny, przeżyła też, ponieważ tam była na Wołyniu, więc ona jakby była w pobliżu tam mordowania przez Ukraińców ludzi, więc miała już swój bagaż dramatycznych doświadczeń z czasów wojny, i to się zaczęło powtarzać, bo to nie jest tak, że ktoś przyjdzie, puka. Oni przychodzą gdzieś o 6 rano, kopią w drzwi, prawie że wyważają, wrzaski, otaczają dom. Wygląda dosyć nieciekawie takie wejście, więc tu człowiek wypada z łóżka, ja najczęściej uciekałem, jakieś okropne rzeczy. Pamiętam taki moment, to już było pod koniec, to były jakieś takie wybory, które oni organizowali, znaczy Jaruzelski i spółka. I myśmy podjęli decyzję, że wspólnie z innymi organizacjami opozycyjnymi i podziemnymi zrobimy kontrolę tych wyborów, będziemy liczyć, ile ludzi przychodzi, ile wychodzi i tak dalej. Zaczęliśmy to skutecznie robić, wykorzystując nasze kontakty organizacyjne. Oni się zorientowali i ponieważ już nie byli w stanie złapać nas, bo to wszystko było już w terenie, cała ta organizacja liczenia, to zasadzili się u mnie w domu, żeby, jak przyjdę, ewentualnie przejąć wyniki te zbiorcze. Ja tego nie przewidziałem, że oni się zdecydują w dniu wyborów na ten, oni siedzieli w domu, z radiostacją, z bronią tam i tak dalej, a moja żona ich po prostu strasznie szykanowała, bo nie pozwalała chodzić do klozetu, nie wolno było, jak kiedyś któryś zadzwonił, to wydarła z niego 2 złote za ten telefon. Taką niezbyt przyjemną atmosferę. I jak oni, jak ja szedłem do domu i zacząłem otwierać drzwi, to żona biegła do drzwi, żeby mnie ostrzec. A oni za nią tam biegli, tam była taka szarpanina przy tym, ja uciekłem wtedy i nie udało im się przejąć tych dokumentów. I żeśmy je opublikowali, bo ja miałem rzeczywiście zbiorcze te dokumenty z tych wszystkich punktów obserwacyjnych. I jej tam jakieś zrobili kolegium za utrudnianie i tak dalej. Strasznie śmieszne. Została uniewinniona, dlatego że oni postawili zarzuty, że ona czynnie siłą przeciwstawiła się, a to były takie byki po prostu, a tu tylko jedna kobieta trzem osobom się przeciwstawiła. Ta pani z kolegium tak się wkurzyła, powiedziała, że jeżeli takie są służby, że wy sobie ze słabą, drobną kobietą nie możecie dać rady, to nie mogę jej skazywać, wyście powinni tu stanąć przed kolegium i tak dalej. Tak się to skończyło. Ale ja później tak popatrzyłem na swój dom po tej całej aferze, bo oni w końcu się wynieśli, i doszedłem do wniosku, że właściwie ja już mieszkam tylko dlatego, że jest jakieś łóżko, że ten dom jest, nie powiem, że zrujnowany, ale że to już jest na pograniczu kompletnego ubóstwa, że właśnie te ataki, ciągłe przeszukiwania i tak dalej, to doprowadziło, że człowiek właściwie nie za bardzo mógł prowadzić normalny dom. Ale absolutnym takim apogeum tej dramatycznej, ale i groteskowej sytuacji, nie wiem, co to było, że oni zrobili ogromny taki nalot, nie wiem, otoczyli ten dom, a moja mama się tak wkurzyła, że wyszła na balkon i zaczęła ich rugać tam, porównując z Gestapo i tak dalej. Sąsiad z naprzeciwka zaczął się drzeć na nich: „Co wy chcecie od tego chłopaka?” i tak dalej. Oni tam do niego krzyknęli: „Siedz cicho!”. „Ja wam dam cicho, ja tu pod Berlinem”. Sąsiad miał kury, te kury zaczęły gdakać. Psy szczekają i się taki cyrk zrobił niesamowity, że oni odstąpili wtedy od tego, bo już po prostu, czyli w pewnym momencie to prześladowanie z jednej strony doprowadziło do takiego, że ten dom można było zostawić i wyjść, bo nic by nawet nie było do wzięcia w tym domu, do takiej sytuacji. A z drugiej strony gdzieś w pewnym momencie już przekroczyli jakikolwiek próg przyzwoitości. I wtedy cała ta ulica się na nich prawie rzuciła. Wtedy odstąpili, więc jak tak patrzę, to było może najgorsze, że to się żyło z dnia na dzień. Ja pamiętam, jak dostałem zaproszenie do Stanów Zjednoczonych na początku 1990 roku na stypendium, to ja nie miałem w czym pojechać. Miałem jakieś buty, jakieś takie. Kupić też nie za bardzo było. Miałem jakieś takie składkowe, tę koszulę, ten krawat, krawata nie

miałem, koszuli, buty gdzieś tam kupiłem jakieś. W każdym razie mój wyjazd unaoczniał mi, że w sumie podziemie na tyle wciągało, że człowiek przestał zwracać uwagę na inne aspekty życia, że musiał praktycznie całe życie swoje poświęcić temu. Ponieważ sporo mówiłem o rodzicach, tu mamy moją mamę chyba właśnie pod koniec studiów swoich, a tu ojciec po zdaniu egzaminu oficerskiego w podchorążówce. Tu takie może najwcześniejsze zdjęcie. Ja siedzę na koniu. Zawsze miałem taką słabość do koni. Mój stryj, który miał duże gospodarstwo, to w zasadzie widać, powiedzmy, różnicę między wielkością tego konia. To takie wczesne zdjęcie ze szkoły podstawowej. Siedzę z bratem i z kolegą z klasy na jakiejś wycieczce rowerowej. Ja jestem tutaj pierwszy po prawej, a na zdjęciu pierwszy po lewej. Tu już studia. Byłem członkiem Klubu Grotołazów, tutaj na Sokolikach. To są takie ćwiczebne skałki, wszyscy grotołazi, taternicy zaczynają, szczególnie na Dolnym Śląsku, od tego. O, tu już jestem szczęśliwym ojcem, to jest gdzieś rok 1979, córka Dominika. Zresztą mam teraz 4 wnuczki, a tu z najmłodszą wnuczką, taka analogia tu już, Zosia, to jest najmłodsza wnuczka Zosia. Tu jeszcze takie zdjęcie, tak wyglądałem na początku szkoły średniej.